

Królowa sceny i życia

- Zawsze o wszystko musiałam walczyć - wyznaje NINA ANDRYCZ

Była Marią Stuart, Damą Kameliową, Carycą Katarzyną, Królową Małgorzatą, Lady Makbet, Królową Elżbietą, Izabelą Łęcką, ale też Dulską i Panią Warren, czym zdziwiła wielu swoich wielbicieli. Całe życie zaskakiwała siłą charakteru i odwagą sądów.

Pierwszy raz spotkałyśmy się przed osmioma laty, gdy grała, obok Ignacego Gogolewskiego w „Krzyszczaku” Ionesco. Na scenie była przygarbiona, chodziła na wykrzywionych nogach, a jej tronem było zwykłe krzesło. Po spektaklu spotkałam się z damą w wytwornej sukni, z kobietą o nienagannej figurze, której dłonie zdobiła piękna, stara biżuteria. Nina Andrycz - aktorka legenda, od 60 lat wierna warszawskiemu Teatrowi Polskiemu, 11 listopada obchodziła 90. urodziny. Gdy zadzwoniłam z życzeniami, natychmiast mnie rozpoznała. Usłyszałam głos rzeński, niemal młodzieńczy, z charakterystycznym przedniojęzykowym „r”.

- Bogu dzięki, czas jest dla mnie łaskawy, nie zabrał mi siły i werwy do pracy. Benefis z okazji urodzin, który urządzono mi w Teatrze Polskim, był wspaniały. Oficjalny, huczny jubileusz obchodziłam pięć lat temu. A teraz środowisko artystyczne uparło się, żeby urządzić taką wielką fetę. Zaprosiliśmy 200 osób, a przyszło 450, ledwie się pomieścili. Całą uroczystość prowadził Ignacy Gogolewski, a Krzysztof Kolberger czytał moje wiersze. No i ja miałam długie wystąpienie. Mówiłam o swojej karierze, ale przede wszystkim wspominałam wielkich aktorów, z którymi miałam szczęście spotkać się w teatrze: Przybyłko-Potocką, Węgrzyną, Osterwę, Zelwerowicz. Wszyscy słuchali, nikt się nie wiercił, nie kaszłał, więc sądzę, że mówiłam interesująco. Wystąpiłam w czarnej koronkowej sukni przywiezionej z Madrytu, a niektóre panie zaglądały mi za uszy, żeby sprawdzić, gdzie są szwy po operacji plastycznej. Po raz kolejny udowadniałam, że nigdy niczego sobie nie naciągałam. Po części oficjalnej było jedzenie, picie i podpisywanie mojego ostatniego tomiku poezji „Wczoraj i dziś”. W teatrze jest też piękna wystawa dokumentująca mój dorobek artystyczny. To był uroczy wieczór, tonęłam w kwiatkach i w komplementach.

Po raz kolejny spotkałyśmy się w Krakowie, gdzie Nina Andrycz grała w gościnnym spektaklu Elżbietę w „Królowej i Szekspirze” Ester Vilar. I tym razem nie bała się scenicznej metamorfozy: wystąpiła w pięknej królewskiej sukni, ale też w nocnej koszuli z zabandażowaną głową przygotowaną pod perukę. - Nie bałam się takiego scenicznego negliżu, bo tego wymagała rola. Musiałam przecież skonstruować starą, umierającą kobietę z silną, władczą królową, w złotych szatach z diademem na głowie i z berłem w ręku. To, że udało



Fot. AKPA

mi się stworzyć dwoistość tej postaci, przyniosło mi sukces.

Aktorka twierdzi, że jej wierność jednemu teatrowi przez wiele lat była odwzajemniana. Grała dużo, głównie role królewskie, których sama nie liczyła, bo wierzy Bogusławowi Kaczyńskiemu, a on doliczył się dwudziestu.

- Zaczynałam za dyrekcji Arnolda Szyfmana. To był teatr wspaniałych artystów. O nich właśnie opowiadałam w trakcie mojego benefisu. Grałam wielkie role u najlepszych reżyserów, o których dzisiaj można tylko pomarzyć. Zadebiutowałam rolą królewską, Reganą, córką szekspirowskiego Króla Leara w spektaklu wyreżyserowanym przez wielkiego Leona Schillera. Miałam 20 lat, gdy po raz pierwszy założyłam diadem na głowę. I tak już zostało na długi czas.

Nina Andrycz jest zodiakalnym Skorpionem, który, jak twierdzi, w pewnym sensie determinuje jej charakter.

- Dał mi siłę woli, pozbawił tzw. ciepłką i słodczy na co dzień. Ale też umiejętności dyplomacji. Mimo że będąc żoną premiera (Józefa Cyrankiewicza - przyp. JC) obracałam się w świecie dyplomatów, nigdy nie chciałam się dyplomacji nauczyć. To tyle na temat astrologii i jej wpływów na mnie. Resztę wypracowałam sama. Zawsze o wszystko musiałam walczyć. W zawodzie i w życiu.

A jakie wartości w życiu ceni Nina Andrycz najbardziej?

- Miłość i pracę. Obie mają dla mnie wspólne imię: teatr, który był moją największą namiętnością. I też jemu poświęcałam całe życie. Co nie znaczy, że kochałam tylko teatr. Kochałam też

mężczyzn i byłam przez nich kochana. Miłość jest potęgą, która procentuje. Namiętność też jest fascynującym doznaniem. Zapewne dlatego zawsze interesowali mnie ludzie o wielkich namiętnościach. Choćby Eleonora Duse, która przez całe życie kochała erotomana. On się nad nią zniecał, a ona nadal go kochała. Klimat wielkiej namiętności, również tej scenicznej, to jest mój klimat. Sztuka jest bardzo zaborcza i zazdrosna. Miałam tego świadomość od początku, dlatego nie decydowałam się na posiadanie dzieci. Teatr był powodem wielu konfliktów z narzeczonymi o moją nieobecność w domu. Ale ja czuję ludzi właśnie w sytuacjach konfliktowych. Może dlatego, że rozumiem walkę z losem, o władzę, o miłość, o wolność. Walkę z życiem o życie. Zapewne dlatego grywam zwykle kobiety o silnej indywidualności.

Pasją Niny Andrycz jest nie tylko teatr, ale i literatura. Napisała powieść pt. „My rozdwojeni” oraz wiele utworów poetyckich, zebranych w kilku tomikach, m.in. „To teatr”, „Róża dla nikogo”, tom wspomnień „Bez początku, bez końca”, a ostatnio wydała wspomniany zbiór poezji „Wczoraj i dziś”.

- Książka i Wiedza wydała ten tomik w rekordowym tempie, bo w ciągu sześciu tygodni. Chcieli koniecznie zdążyć na moje urodziny. I zdążyli, dzięki temu mogłam podpisywać te tomiki podczas benefisu. Wspomnień biograficznych nie będę kontynuować, bo obiecałam mężowi, że nasze 21 lat małżeństwa pozostaną tylko dla nas. A dama jak obiecuje, to dotrzymuje słowa.

Nina Andrycz napisała też, wraz z Andrzejem Kondratiukiem, sztukę „Lustra”, w której występowała przed laty.

Czy w swoim poświęceniu się sztuce nie czuje się osamotniona?

- Każdy człowiek bywa samotny, ale też każdemu pewna doza samotności jest potrzebna. Wtedy można się skupić i rozsądnie planować życie. Byle nie przekroczyć granicy, bo wtedy wpada się w psychozę. Albo też można się w sobie zakochać. A wtedy to już jest narcyzm. Ja kochałam nie siebie, lecz swoje bohaterki, ale czasami je nienawidziłam, bo „lichą formą się brzydzą”, jak napisał poeta.

A co należy robić, żeby utrzymywać się w tak doskonałej formie?

- Kochać pracę i polegać na sobie. I przestrzegać diety. Zawsze lubiłam wykwintne jedzenie, ale też wiem, że jeśli zdarzy mi się poszaleć kulinarnie, to na drugi dzień trzeba to odkupić dietą. I proszę, są tego efekty. Do dziś mam figurę młodej dziewczyny.

Dwukrotnie miałam okazję zasiąść z artystką do stołu i byłam świadkiem, jak dobierała potrawy: lekkie - najchętniej ryby i sałaty, a na kilka godzin przed spektaklem nic do ust nie brała.

- Muszę się jednak przyznać do jednej słabości: uwielbiam słodczy. Jeśli zakochany we mnie mężczyzna zaprosił mnie na kolację, chciał uraczyć różnymi egzotycznymi potrawami - to ja cały czas marzyłam o deserze. Przy nim wyraźnie się ożywiam.

JOLANTA CIOSEK

REFLEKSJE Z WATYKANU



KS. JAROSŁAW CIELECKI

Kiedy zastanawiamy się nad naszym życiem, uświadamiamy sobie, że upływa ono na nieustannym oczekiwaniu. W adwencie czekamy na przyjście Chrystusa. Trochę smutny tego roku jest ten okres, bo nie ma wśród nas Jana Pawła II, ale ufamy, że kiedyś znowu Go spotkamy. Podobnie jak naszych bliskich, których w tym roku zabraknie już przy wigilijnym stole. Papież Benedykt XVI apeluje, aby nie skomercjalizować świąt Bożego Narodzenia. Choinka, prezenty to wszystko ważne, ale najważniejsze, jak przygotowujemy siebie, naszego „wewnętrznego człowieka”, na Narodzenie Pana. Tym przygotowaniem jest sakrament pokuty. Czasem boimy się przyznać do winy przed Bogiem i człowiekiem. Dlatego ważna jest odwaga adwentowa, aby poszukać sensu życia, gwiazdy osobistej, która wskaże prawdziwą drogę do Zbawiciela. Ludzie zapracowani, zajęci wieloma sprawami często w ostatnim momencie odnajdują istotę świąt.

Dobrze, gdy szukają... Niedawno opowiadał mi na Sycylii ksiądz, że gdy stał na ulicy, zatrzymał się przy nim pusty autobus i kierowca poprosił, by wsiadł. Okazało się, że zapracowany szofer nie ma możliwości iść przed świątami do spowiedzi, chciał więc, by ksiądz wyspowiadał go w czasie jazdy. I tak też się stało...

Wielkim dawcą daru miłosierdzia w sakramencie pokuty był święty Ojciec Pio; wiemy, jak wiele osób udawało się do niego, aby skorzystać ze spowiedzi. Ksiądz Oreste Benzi z Rimini opowiadał mi: „Bałem się bardzo - mówiono, że on taki surowy, bałem się jego spojrzenia. Ale kiedy zacząłem się spowiadać, wszystko było już inne - czułem, że przez Niego mówi w szczególny sposób Bóg. Obserwowałem go, jak cierpiął, a w momencie konsekracji zobaczyłem, jak na korpował z jego ran na rękach kapie krew. Uświadomiłem sobie wtedy, że Bóg przychodzi do człowieka, który dźwiga ciężar cierpienia, lecz w tym dźwiganym jeszcze bardziej jest z nim zjednoczony.

Wspominam pielgrzymkę Jana Pawła II (w której mu towarzyszyłem) do Ziemi Świętej - chwilę, gdy w Betlejem chciał pozostać i odmówić modlitwę w miejscu narodzenia Zbawiciela. Myślę, że teraz, patrząc na Chrystusa, modli się jeszcze bardziej za nami. Pragnę z tego miejsca, ze Stolicy Świętej, jaką jest Watykan, życzyć wszystkim z okazji świąt Bożego Narodzenia wielkiej radości i tego, by dobro, będące znakiem Miłości przychodzącej na świat w Stajence Betlejemskiej, na wszystkich odczakach świata i w naszych sercach, otaczało Was na co dzień.